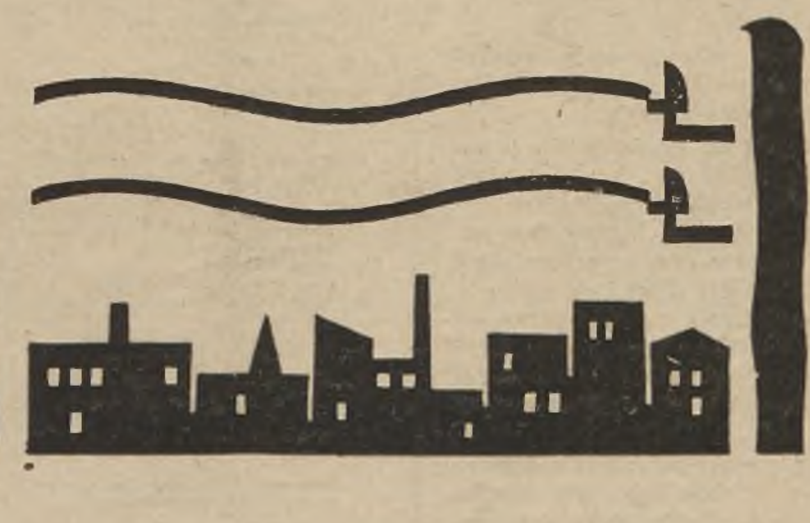
Nr. 11 Dodatek do nr. 32 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“ Rok I



Rozmaitości Literackie i Naukowe

TREŚĆ





Nie żałowano sobie ani w jadle, ani też w napoju w dawnej Polsce. Zapiski z różnych epok wymownie świadczą o tym fenomenalnym apetycie naszych przodków, o tych pantagruelicznych festynach, które z trudem można było strawić. Nie mało przyczyniały się one zapewne do żywiołowo-cholerycznych wybuchów temperamentu, cechujących te czasy.

Dokładny opis takiej uczty znajdujemy w zapiskach niejakiego Guillaume le Vasseur de Beauplan, kapitana na służbie polskiej z czasów Zygmunta III.

Potrawy bywały proste, ale nader obfite — notuje Beauplan, który, choć długo zamieszkały w naszym kraju, z podziwem wymienia olbrzymią litanję podań.

Najpierw szły przekąski, wszystkie na zimno, a wśród nich pierwsze miejsce zajmowało mięso gotowane z przyprawą 4-ch zasadniczych sosów: żółtym, z szafranem; czerwonym, z wiśniami; czarnym, ze śliwkami; szarym, z czosnkiem. Potem szły pasztety, a wreszcie — wieprzowina z kiszoną kapustą.

Po spożyciu przekąsek zmieniano obrus (zapewne z powodu różnorodności barwnych sosów) i wnoszono drugą serję dań, tym razem, na ciepło.

A więc różne mięsiwa, wśród których obfitość wszelkiego rodzaju „ptaszków", a wszystko z sałatami.

Wśród ciepłych dań obowiązywała upa grochowa, która „cieszyła się specjalnym faworem, a do niej wielki kawał wieprzowiny, który krajano na drobne cząstki i nie żując wcale połykano z zupą".

Serję tych potraw musiała zamykać kasza hreczana lub jaglana i nieodłącznie... ciasteczka z makiem.

Po spożyciu tak fundamentalnego zapasu jadła podawano „wety", co odpowiada (nie jakością wprawdzie) dzisiejszemu słodkiemu, inaczej deserom. Kwaśna śmietana, sery i wreszcie różne bakalje, stanowiły długą listę wetów.

Podczas jedzenia nie było przyjętem pić innych trunków poza piwem, które podawano w wysokich puharach z dodanem grzanek z chleba, smarowanych oliwą.

Kolej na trunki przychodziła dopiero po uczcie, odbijano sobie zato chwilową tę wstrzemięźliwość, dyktowaną zresztą obawą, by apetytu nie zepsuć, obfitością napojów, przy których spędzano nie mniej 4—5 godzin, wciąż przepijając do siebie. Ileż tu było przeróżnych naczyń! Czworokątne, trójkątne, długie lub okrągłe, srebrne, kryształowe i „w takim rozmaitym kręciły się ruchu, że nawet planety nie mają mniej regularnego obrotu".

Za każdym z biesiadników stało 2—3 pachołków, których z sobą przyprowadzano. Zmieniali oni talerze, a przy sposobności nie mniej zajadali od swoich panów, wnosząc zdobycz do kąta, gdzie podczas uczty, z głośnem mlaskaniem łapczywie objadali się, „różne czyniąc nieprzyzwoitości", również nie żałując sobie na trunkach. Podobna licencja była ogólnie przyjęta i nikogo nie raziła, chyba gospodarza, którego koszty z tej przyczyny podnosiły się w czwórnasób.

Przymówki

Na świętego Mateusza (21 września)

Do świętego Mateusza
nie zdejmuj kapelusza,
a po świętym Mateuszu
kiep ten, który w kapeluszu

Gdy święty Mateusz
w śniegu przybieżał,
to po pas będzie
całą zimę leżał

Święty Mateusz dodaje chłodu
i raz ostatni podbiera miodu

Na świętego Tomasza (22 września)

Mawiał święty Tomasz
jedz doma to, co masz...

Mówił święty Toma,
że najlepiej doma

Na święty Tomasz,
zawsze wiesz co masz...

Niech cię nawet na Tomasza
twój siew żyta nie odstrasza...

Odszedł Jakób,
przyszedł Tomasz,
płać za długi,
nagródź sługi,
bo wiesz, co masz...

Na świętą Teklę (23 września)

W dzień świętej Tekli
będziemy ziemniaki piekli,
a po świętej Tekli
znów kapustę siekli

We wrześniu, gdy tłuste ptaki,
mróz zimą nieladajaki...

Oczywista, że uczta taka pochłaniała olbrzymie środki, szczególnie, gdy „szlachetnie urodzony", mając na celu widoki polityczne, podejmował liczne grono biesiadników.

Obżarstwo i opilstwo z każdym rokiem stawało się większem, przyczem „szlachetne" podniebienia nie mało smakować zaczęły w przeróżnych drogich zagranicznych zaprawach i „condimentach". Poważnie myśląca, nieliczna zresztą, część społeczeństwa nieprzychylnem okiem patrzyła na tę rozrzutność i, szczególnie za panowania Władysława IV, ostrą wszczęła kampanję przeciw temu zjawisku.

Jedni występowali poważnie, a więc Skarga i Birkowski z ambony, Fredro i Starowolski w rozprawach pisanych, inni jak Zbylitowski i Opaleński ciętą satyrą napadali w ulotnych pamfletach i uciesznych poezjach.

Kanclerz Ossoliński nawet uważał za stosowne zabrać głos w tej materji, szczególnie napadając na sprowadzenie przeróżnych smakołyków z zagranicy. Przykładem innym świecąc „bankietował po domowemu i zgoła było dobrze, udatno i poważnie".

W tym celu wymyślił kanclerz cały szereg t. zwanych dzisiaj namiastek.

A więc zamiast migdałów zalecał orzechy, zamiast rodzynków — suche wiśnie, zamiast „limonji" (cytryn) — przednie jabłka w talarkach, zamiast „kanaru" (cukier trzcinowy) — miód, zamiast pieprzu i imbiru — chrzan i gorczycę i t. p.

Podobne przepisy spotykamy w rzadkiem dziele satyrycznem p. t. „Leges Sumptuariae, czyli uniwersał poborowy na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy".

Nieznany autor tego „uniwersału" wyznacza przeróżne podatki pieniężne od zbytku, obejmując nietylko kwestję jadła i picia, ale również i stroje, obyczajowość i t. p. Uniwersał specyfikuje działy, które w skrócie podajemy.

Ze strony zbytków w piciu.

Naprzód, aby żadnego pijanicę do rady nie brano, ani mu urzędu nie dawano, gdyż Solon, prawodawca, jawnym to dekretem ustanowił, mówiąc: jeżeli rządca będzie pijakiem, nie ma panować i bliźniego też pijanemu sądzić grzech.

A tak każdy, który się upije, aby dał poboru złotych 10, to jest, kiedy winem, małmazją; a kiedy gorzałką, złotych 15, bo panom senatorom sromota pić gorzałkę; kiedy piwem się upije, złotych 5. Taki pobór za każdy raz powinien dać pod podwójną karą (sub poena dupli). Szlachta nie mają się też upijać, tylko co majętniejsi, i to,, który-

monokl. Któż dziś prócz mnie i Olwinga, zresztą, używa monoklu? Mais c'est une nuance characteristique de ma phisiognomie. Rozumiesz?

— eee! skreślił wynik Zhorski — poczem dolał sobie koniaku.

— Zły jesteś? zainteresował się Nörwigh.

— Mam zmartwienie — obciął Zhorski.

— Bah! kto ich nie ma. Mnie naprzykład dano na chrzcie świętym imiona Bertolda, Axela, Ludosława, Anny — zgódź się, że trudno o bardziej komiczny dobór. Gdy będę miał syna, nazwę go Rajmundem, Placydem, Dyoskorem, Heronem — niech i on ma za swoje. — Nörwigh spoważniał nagle. — Słuchaj, widzę, że ci coś serjo dolega, jeżeli chcesz, powiedz. Obiecuję wysłuchać cię z przychylną obojętnością, a jeżeli zdołam — pomogę. To wszystko co można naprawdę uczynić dla przyjaciela.

Zhorski milczal i widocznie zupełnie, mełł w zębach wyrazy wyznania.

— Od paru dni spotykam cię codziennie w towarzystwie p. Aldony — czy to nie ma związku z twoim stanem?

— A jeżeli ma? Spytał głucho Zhorski.

— Phau! Każdy tam chodzi dla czegoś. Jedni dla kolacji, inni dla flirtów, jeszcze inni dla interesów, ja dla Lu, a ty, jak widzę, dla pani domu — tylko, że ty... ty... mój drogi, — nie powinieneś dla tego chodzić.

— Wiem o tem, i to mnie gryzie. Słuchaj. Nie wiem co się ze mną dzieje. Ty wiesz, że kocham Irenę, że od zaręczyn nie widziałem świata po za nią. Po prostu żyłem nią i dla niej — i — oto teraz nie wiem, co mi się stało. Nie przestałem jej kochać, nie, ale, jak ci to powiedzieć, przestała mi się podobać. Jest mi ciągle kochaną, lecz coraz mniej upragnioną, gdy tymczasem w każdy nerw, w każdą myśl wżarła mi się inna. Wiesz o kim mówię. śnię, marzę, o jej spojrzeniu, jej uśmiechu — prześladuje mnie ona wszędzie, w każdej chwili. Gdy tymczasem twarz Iry blednie mi w oczach, w myśli, staje się nikłą, niewyraźną, obcą. Jakgdyby mi ukradli, zamienili Irę. Jest ta, a jednak inna. A zamiast niej, myśl, duszę, pragnienia zapełnia, nasyca ona, ona, ona... Zaczęło się to od pewnego wieczornego spaceru. Gdym się z Irą żegnał u drzwi mieszkania, uderzyła mnie jej twarz. Była ta sama, a jednak inna. Jakgdyby starta. Pomyślałem: zmęczyła się. A nazajutrz spotkałem Aldonę. Nie odszedłem od niej. I teraz ja, ja, dla którego Ira była wszystkiem, idę do niej niechętnie, obcy jakiś, szukam w tej kochanej, a jednak cudzej mi panience dawnej mojej, czarownej Iry — męczę się, i wiem, że męczy się ona. Błądzimy koło siebie po omacku. Serce moje znajduje ją, lecz ciało, zmysły — pozostają obce — oczy moje tęsknią do Aldony, do jej uśmiechu, spojrzenia.

Zhorski zamilkł. Z pod zsuniętych brwi fosforycznie, niezdrowo błyszczały oczy. Zmarszczone czoło pokryło się kropelkami potu.

— Ot i cała historja. Głupia i tragiczna. Kocham kobietę, która mi się nie podoba i szaleję za niekochaną.

Nörwigh w milczeniu palił papierosa.

— Walczyłem z sobą, zmagałem się. Nie mogę, c'est plus fort que moi. A zresztą, Ira wyczuje kłamstwo. Mogę zmóc lub ulec. Ukryć przed Irą nie zdołam.

— Mój kochany, rzekł poważnie Nörwigh — jeżeli mężczyzna w twoim wieku i z twoim charakterem mówi „nie mogę", oznacza to, iż istotnie nie może. Uczucie zdławione w mocnej piersi znajduje ujście lub rozsadza pierś.

— Myślisz więc?

— Myślę, że szału twego starczy na tydzień. I myślę jeszcze, że panna Irena istotnie cię kocha i jest mądrą. A mądrość i miłość — wybacza.

VII

Tygodniowe przyjęcia baronostwa Pappenholz-Pappenberg były zawsze wydarzeniem dnia. Jedni bywali tam istotnie dla świetnego przyjęcia, drudzy ze snobizmu; jedni dla ładnych, licznych, a nieraz łatwych, kobiet, inni, wreszcie, dla interesu. Całe miasto, a raczej cała śmietanka jego sztuki, towarzystwa, świata urzędniczego i politycznego i finansiery, ocierała się w dniach tych o siebie. Nawiązywały się flirty, intrygi i interesa. Aczkolwiek niezmiernie kosztowne, przyjęcia te należały do najpopłatniejszych pomysłów Domu Bankowego Pappenholz-Pappenberg.

— To nie „salon", to jarmark gdzie sprzedają en detail życie — oświadczył spokojnie Nörwigh, który w domu Pappenbergów, jak i wszędzie, zresztą, gdzie bywał, — wyrobił sobie samorzutnie, specjalne prawa i przywileje, a w szczególe, prawo mówienia wszystkiego co mu się podoba. — Nie widziałem jeszcze tak eleganckiego i miłego rynku — wyjaśnił kiedyś panu domu, częstującemu go w palarni cygarem.

Rynek ten jednak czy jarmark, rozłożony co tydzień do późna w noc, w czterech salonach, palarni i małym saloniku, — buduarze, rządzony i segregowany był sprężyście, acz niewidocznie. Cztery rzucone amfiladą, salony, zamknięte klamrą palarni, stanowiły ludzki basen, teren rozmów, flirtów, zadzierzgnięć i wybadywań, zbiornik z którego wyrywano poszczególne jednostki, „dojrzałe", czy niezbędne, do poufnych pobytów w gabinecie pana domu. Cztery, rzucone amfiladą salony, z królującą, w środkowym, baronową Aldoną i przewijającym się przez nie raz po razie, p. Sewerynem, służyły terenem przypadkowych, czy niby — przypadkowych spotkań i zetknięć, cysterną poszeptów, napomknięć, drobnych niedyskrecji, rzucanych w przelocie informacji, z której wprawne dłonie p. Seweryna i jego najbliższych przyjaciół, umiały zaczerpnąć potrzebne krople wiadomości.

Pomimo pozorną chaotyczność zebrania, mimo setkę osób przewijającą się w dniu przyjęcia, niewidoczne, a wprawne ręce, nieuchwytna, a mocna wola, umiała każdego umieścić na właściwym, przeznaczonym mu miejscu, zetknąć z naznaczonym z góry rozmówcą, przetrzymać do określonego terminu i w określonej nieraz chwili, wysunąć z gościnnych podwojów baronostwa Pappenholz-Pappenberg.

(D. c. n.)

cież celowo, świadomie doprowadziła mnie do szału, snując między nami...

— Panie Juljuszu, między nami nic nie było!

— Tak, objektywnie nic — ale po za sferą uścisków, czy pieszczot, było wszystko, wszystko niemal — i pani wie to, pani to dobrze rozumie. Więc dlaczego mnie pani teraz odpycha?

— Może dla tego, że „oszalał" pan zapóźno. Wszak zaczęliśmy flirtować przed miesiącem, a pan — westałko uczucia o instynkcie oporu — dopiero dziś mi tak wyraźnie prawi o oszołomieniu, datującym się z przed tygodnia. A może były i inne przyczyny... Napewno były... Miesiąc to długi okres. A zresztą, powiem panu, pan sam sobie winien: czemu pan nosi przy smokingu różowe bawełniane skarpetki? Któraż kobieta odda się mężczyźnie noszącemu różowe bawełniane skarpetki! To to samo co jeść kiełbasę rękoma. Czy pan je kiełbasę rękoma?

Wirecki posiniał. Jej brutalne wyszydzanie odebrało mu niemal przytomność.

— Kłamiesz! — krzyknął zduszonym głosem. Kłamiesz najpodlej: Ja nie noszę różowych skarpetek.

Baronowa Aldona Pappenberg podniosła się majestatycznie.

— Przedewszystkiem, nie „ty", a pani. A po za tem, tem gorzej dla pana: nie nosić różowych skarpetek i nie jeść kiełbasy rękoma, a wyglądać tak, jakby się to wszystko czyniło, to doprawdy szczyt upadku: Jestem zbyt dobra słuchając pana. Wreszcie... obiecany kwadrans minął od paru minut.

Wirecki podniósł się również.

— Żałuję, żem dopuścił do uniesienia się. Objektywny świadek usprawiedliwił by mnie jednak. Mam honor pożegnać panią. Jest pani złą kobietą. Pocieszam się, że trafi pani na swego. Zhorski zapłaci pani za jej brak serca swym chłodem i wzgardą.

Skierował się ku wyjściu.

— Och panie, — rzuciła wślad Aldona ciepłym i wesołym głosem. — Upewniam pana, że między mną, a Zhorskim nie będzie nic... nawet batystu.

Poczem również wyszła z pokoju.

VI

Kwintet kończył właśnie jakiś melancholijny nokturn. Duża, owalna sala była niemal pustą jeszcze. Z czerwonym suknem krytej podłogi, wyrastały, jak białe, niesamowite chryzantemy, stoliki i stoły, czworokątne, owalne i okrągłe. Cicha, dyskretna i wyszkolona służba przesuwała się jedwabnymi kroki. Zrzadka zabrzęczała taca, zrzadka rozległ się donośniejszy głos. Jaskrawe płomienie lamp, ujęte w mleko matowego szkła i jedwabną czerwień abażurów, otulały sale wilgotnym, łagodnym półcieniem.

Wszedłszy, Zhorski rozglądał się chwilę uważnie. Właściwie chciał być sam, czuł jednak, że samotność mu cięży. Pod ścianą dostrzegł Nörwigha, chwilę zawahał się, wreszcie podszedł.

— Siadaj, rzekł Nörwigh — obserwuję cię od paru minut.

— Czemuś nie skinął, że jesteś. Byłbym podszedł odrazu, odparł leniwie Zhorski.

— Napijesz się koniaku? Nie dawałem ci żadnych sygnałów, albowiem jeśliś szukał towarzystwa, to i tak byś mnie wynalazł w tej pustej sali, a jeżeli chciałeś być sam, znaki byłyby nietaktem.

Zhorski wzruszył ramionami.

— Mówią o tobie, że tak dużo i tak namiętnie teoretyzujesz, że zatraciłeś już zdolność odczucia.

— To mówią głupstwa. Uczucie jest pierwiastkiem myśli. Więc staluję ci koniak, a przy tej okazji i sobie. Straciłeś humor od paru dni, konstatuję to ze współczuciem.

— Od paru dni dolega mi życie.

— Wyrażasz się jak pensjonarka obcięta na maturze. Jeżeli ci dolega życie, oznacza to tylko, że źle marzysz.

— Źle marzę?

— Oczywiście, marzenie jest utkane z tej samej przędzy co i życie. Tylko życie utkane jest ordynarnie, monotonnie i płasko, a marzenie artystycznie i wytwornie. Skoro tak jednak, to życie jest zwulgaryzowanem marzeniem, a marzenie wysubtelnionem życiem. Wynik — żyjąc realizujemy trywialne marzenie, marząc roimy udoskonalone życie. Dolega ci więc wulgarne marzenie— ergo marzysz źle. Kropka.

— Można by to powiedzieć krócej: źle żyjesz.

Nörwigh uśmiechnął się:

— Słusznie. Nie widzę jednak powodu wyrażać się krótko.

Kelner przyniósł koniak, który Nörwigh przyrządzać począł na swój sposób: z czary pełnej śniegu wyjmował oziębione smukłe szklanki, rzucał do nich po parę kawałków lodu, przysypywał go obficie miałkim cukrem i wlewał wreszcie kilka kieliszków koniaku.

— Wolę to niż absynt — stwierdził zachęcająco, ciągnąc napój przez słomkę.

Zhorski pił w milczeniu. W kątach jego oczu taiło się wyraźne zmęczenie; znużonym gestem sparł swą piękną głowę na lewym ręku, gdy palce prawej, przytrzymujące słomkę, drżały mu lekko. Czuł dziwną potrzebę szczerości, gorzał nabrzmiałą nagle chęcią spowiedzi, przed którą wzbraniała się jednocześnie jego skryta natura.

— Sądząc z twego smokinga, snuł dalej leniwie Nörwigh, wybierasz się do Pappenbergów. Cieszy mnie to, gdyż i ja tam idę. Zwróć uwagę na niejakiego Olwinga — jeden z ciekawszych ludzi jakich widziałem, a bezsprzecznie najciekawszy w całym naszym towarzystwie. Żałuję, że nie mogę się z nim zbliżyć.

— Czemu nie możesz? — spytał machinalnie Zhorski.

— On nosi w klapie stale zielone goździki, a ja, jak wiesz żółte. Uważam, że te kolory się gryzą.

Zhorski wzruszył ramionami:

— Zmień kolor.

— Wyrażasz się jak rzemieślnik — oburzył się Nörwigh — i to rzemieślnik, chory na inteligencję. Butonierka jest wykładnią psychiczną światowca. Proponować mi zmianę koloru, to to samo, co, naprzykład, zaproponować bym przestał nosić

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

Wirecki przerwał, szukając w myśli najdosadniejszego określenia. Aldona poprawiła się w niskim fotelu, przyczem, mimowolnie niby, zawinął się brzeg sukni, ukazując powyżej kolan jej pełną, przecudnie utoczoną nogę. Obnażone ramiona zarzuciła pod głowę, aż widocznym się stały wgłębienia pach, zmrużyła zupełnie oczy, rozchyliła lekko nabrzmiałe krwią wargi i rzuciła niedbale kącikiem ust:

— Proszę, mów pan dalej. Mam jeszcze cały kwadrans czasu.

Wireckiemu żyły nabrzmiały na skroniach i czole.

— Będę się streszczał, aby nie zabierać jej drogiego czasu, przeznaczonego dla innego.

— Proszę się nie krępować. To co pan mówi, niemal mnie interesuje — no, a w ciągu kwadransa można chyba wyśpiewać bóle najbardziej skrzywdzonej duszy.

— Pani sztuczki przeszkadzają mi zebrać myśli, rzekł brutalnie Wirecki.

Aldona otworzyła szeroko oczy, poczem przymknęła je znowu.

— Wie pan? Zaczyna się pan wyrażać jak posłaniec. Ale to nic. Niech się pan nie żenuje zbytnio. Kwadrans wytrzymam!

— Przepraszam panią, — Wirecki czuł, że gra zupełnie śmieszną rolę. — Odezwałem się głupio...

— Pan Nörwigh twierdzi, iż nie to jest straszne, że przeciętny mężczyzna jest głupi, a to, że kocha swą głupotę i jest z niej dumny. Nie mówię tego bynajmniej w stosunku do pana — skomentowała leniwie — mów pan, proszę, słucham.

— To co nazwałem naszym stosunkiem, zatrąca moje serce...

— Ze wszystkich historji najistotniejszą i najbłahszą zarazem, jest historja serca — tak twierdzi przynajmniej Nörwigh, wtrąciła Aldona, rzucając jednocześnie z pod rzęs śliczne spojrzenie, które Wirecki odczuł jak muśnięcie słońca.

— Może zostawimy pana Axela Nörwigha na boku, — poprosił drżącym, obudzoną nagle nadzieją, głosem, Wirecki.

— Tego panu obiecać nie mogę, lubię cytaty, a jego powiedzenia mają dla mnie specjalny urok.

— Dobrze. Choć spodziewałem się, iż zamiast Nörwigha zaszczytu cytowania dostąpi... Zhorski.

— Siła pana Zhorskiego leży zupełnie w innej płaszczyźnie — pojaśniła Aldona, zakładając nogę na nogę.

— Pani Alo — Wirecki zrobił rozpaczliwy wysiłek, by wyjść z narzuconej mu częścią, a częścią powstałej z jego winy, komicznej mocno sytuacji — jeszcze parę dni temu ufałem, że szczęście, śnione szczęście będzie moim udziałem...

— Wiara w szczęście i dążenie ku szczęściu jest dowodem niewyrobienia umysłowego. Tenże Nörwigh — rzuciła leniwie Aldona, przyczem uśmiech, czarowny, a senny, dziecięcy, a zmysłowy, przeczący żarem ust, chłodowi słów, skrasił jej wargi. Wirecki chłonął go oczyma, czując, że można nie dbać o nic, lecz nie sposób nie cieszyć się tym uśmiechem. Że jest on łaską sam w sobie, że gdy zniknie z jej ust — wraz z jego zniknięciem spochmurnieje i zbrzydnie życie. Zacisnął pięści i rzucił nerwowo, spazmatycznie niemal:

— Co mnie, co panią, co nas oboje, wreszcie, obchodzi Nörwigh. Szczęście o którym śniłem, którego pragnę, dla którego gotów jestem...

— Ależ mój panie Juljuszu, ja panu życzę wszelkiego szczęścia i pomyślności, ale — nie w moich ramionach.

— Więc po co była ta cała gra?

— Jaka gra, mój panie?

— Ta, którą prowadziła pani ze mną od miesiąca.

— Nie przypominam sobie — skonstatowała obojętnie Aldona.

— Dobrze! Wyjaśnię.

— Wyjaśniać, znaczy w najlepszym razie zaciemniać. Niestety ciągle tenże Nörwigh.

— Pani Alo! Zapomnijmy na chwilę o Nörwighu.

— Prosił mnie pan już o to, i niestety, musiałam odmówić.

— Miesiąc temu, mnie, zwykłego znajomego, zaczęła pani ośmielać...

— Nie przypominam sobie, abym pana ośmielała do impertynencji.

— Ośmielać półsłówkami, półuśmiechami, okazywanemi drobnemi wyróżnieniami. Uwierzyłem w możność wcielenia w życie snu o szczęściu. Broniłem się początkowo przed panią — unikałem jej niemal. Szukałem pomocy we flirtach. Nie zdołałem jednak. Ciągnęła mnie pani nieprzeparcie, zwycięzko, wszechmocnie. Urok pani, wdzięk, dowcip, złamał mój instynktowny opór...

— Złamał, zdaje się, w ciągu ostatniego tygodnia?

— Tak, do ostatnich dni, mimo wyraźnie mi okazywaną przychylność, umiałem się obronić — obecnie zrozumiałem, że bez pani żyć nie mogę, że pani mi jest wszystkiem, życiem i snem o życiu.

I właśnie wówczas, właśnie w chwili gdy podbiła mnie pani, wżarła się we mnie, wypiła z piersi każde uczucie, które nie jest panią, z głowy każdą myśl, która nie jest o Pani — wówczas zmienia się Pani dla mnie, staje chłodną, odpychającą, złą...

— Ha: niedarmo widać mówią o przewrotności kobiet, zauważyła drwiąca Aldona.

— Niech Pani nie szydzi, Pani Alo, Pani prze-

by się zbytnio upił, powinien poboru dać złotych 2, a który upiwszy się zwady czyni złotych 12; który żonę tłucze upiwszy się, złotych 6. Ci zaś, co kmieci nie mają, a pieniędzy do tego, niechaj wina ani malmazji nie piją, chyba kiedy przy wielkich panach pożywić się mogą. Miód, co się tu w domu rodzi, komu może być, może go pić, a ktoby się nim upił, powinien poboru dać złotych 20.

Doktorom ustawa niech nie będzie, bo ci skromnie żyją, a insze rzeczy, nie trąbiąc, skromnie odprawują.

Ze strony zbytków stołowych.

Od każdego tortu, po groszy 12, od ciast farbowanych, moździerzowanych i garnuszkowych, po groszy 11, od kijowego kołacza, złotych 2, gdyż nadzienie nie jest strawne, od bijanek, po groszy 6, od masła formowanego z migdały, po groszy 24, bo dobrze bez tego masło; od galarety, złoty 1, od głowy cukru, po groszy 12, od pączków, po groszy 4, od pasztetu, złotych 2, od limonji, po groszy 15, gdyż nie zła pieczeń z ogórkami, albo z cebulą, a konew piwa, aż się oczy stulą, lepsza niż one sapory, bo sapią, od parmezanu, groszy 12, bo większa gomółka za grosz niż parmezan za 12.

Ze strony szat białogłowskich.

„Choć się nie uczą w szkole
Przecież wywiodą w pole".

Od każdej jedwabnej szaty, za którą się ogon wlecze, złotych 4, od ormętta kunami podszytego, złotych 4, a sobolami, złotych 8, od pożyczanego, złoty 1. Od płaszczyka, u którego przodki sobolowe, a pod wszystkiem niema nic, złotych 6, gdyżby lepiej barana pod cały kupić dla ciepła, niż wyłogami tylko świat grzać, a grzbiet ziębić. Od obroży na szyi, albo bindy ze złotemi koronkami aż za kolana, co nic po niej, złotych 12. Od dyndela u ucha i od noszenia, by żaba, taler. Od trefienia się, by sowa, złoty 1. Od przyprawionych włosów trupich, po groszy 20. Od tych, co się kudlą z francuską, złotych 9. Od pokoszczanej twarzy, złoty jeden. Od kraszonych brwi, po groszy 14. Od kobierca na ziemię u łoża posłanego, złotych 4, gdyż dobra rogoża i tańsza. Która długo sypia, złoty 1. Która mężowi nie wierzy, złotych 10, bo sama nic dobrego. Która mężem rządzi, złotych 20, bo bieda temu domowi, gdzie dobodzie krowa wołowi; gdzie donica rządzi, tam wiercimak błądzi. Która sobie trefieniem czoło wyciąga, żeby za młodą uszła, złotych 40, bo ta młodzieńca zdradza, gdy się uwałkuje. Która nogę wystawia, pół talara. Która gębusie sznuruje, groszy 12. Wszystkie, które od Ewy, matki naszej, starodawny zwyczaj w Piśmie Św. zalecony, kądziel i pracę z domu wygnały, a strojów się zbytnich jęły, na które każą z Holandji forboty, korony, płótna szwabskie umyślnie wozić, a to wszystko tam białogłowy robią, taka każda niegodna zamąż iść, ani się stroić kiedy nie umie robić; od takiej ma dać matka na miesiąc po 12 groszy, a Panu Bogu surowy rachunek, że jej nie uczy robić, ale stroić.

Ze strony mężczyzn.

Młodzieńcy zaś, którzy szpetni, a miłośni, mają dawać po złotych 6, którzy z regestru się zalecają, złotych 2. Którzy na pamięć, złoty 1. Który tańcuje, a nie umie, groszy 10, bo lepiejby zaniechał. Który tylko na jedną nogę skacze, złotych 10. Biskup, któryby tańcował, od każdego tańca złotych 60, opat, złotych 20, kanonik, złotych 10, proboszcz, złotych 6, wikary, złoty 1, bo ci powinni wszelkiej pokory uczyć. Który chowa myślistwo, a dla niego się nędzi, złotych 20, bo lepiej tam kilkanaście wieprzów chować i karmić, niż sobie grzbiet niepewną zwierzynę goniąc ocierać, w harapie szyję nałomić, konia posadzić, swędu wąchać, gdyż nie tak zwierzyny trzeba, jak tamtego chleba. Łgarze, pochlebcy, zwodnicy powinni dać po złotych 40, bo ci mają jurgielt pewny. Którzy wschodek od brzucha do gęby z guzów czyni, albo drabinkę z pętlic, albo nogi pontały, albo czapragi obuje, by maślonką popluskał, taki, jako Kaligula, powinien dać po złotych 2. Strzelcy, co proch na wiatr darmo z puki puszczają, na bruku strzelają od kalety, co w niej miasto pieniędzy ołów chowają na bliźniego, by żubra, od każdego ładunku, albo puku złotych 3, bo ludzie dobre głuszą i w nocy wyspać im się nie dadzą. Kto nad przyzwoitość potrzeby wymyśla ma dać od wymysłu złotych 100, bo tym drugie napomyka, psuje i do utrat przywodzi. Lichwiarze, którzy jako mól leżąc, jedzą substancje ludzkie, lichwą żyją i do tego od nas in duplo mają być karani i do skarbu, dla obrony Rzplitej trzecią część dać muszą. Marnotrawcę każdego, jako utratnika dobra swego i Rzplitej mieć, albowiem sobie zły, a cóż innym nie ma być gorszy? I tem mądrego bez dobrych uczynków i nieprzykładnego, starego, nienabożnego, młodego, nieposłusznego, bogatego, nie jałmużnika, białogłowę, nieuczciwą, pospólstwo, bez karności, które to nadużyciem wieku zowią — nie cierpieć.

Poborcom tych rzeczy, którzyby kominów murowanych nie mieli, ma im być dane z poboru solarium, od złotego po pieniądzu, jeżeli go sobie nie wezmą.

— — — — — — —

Te wszystkie artykuły, rozumiejąc być potrzebne Rzeczypospolitej tak ze strony pohamowania się od zbytnich, a sprośnych rzeczy, jakoteż pożytku do skarbu pospolitego, słusznie aby były chowane i trzymane dla dobra pospolitego.

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI

Amulety miłości i szczęścia

(Ze źródeł perskich)

BERYL

W wonnym sadzie twojej duszy
kwiat kochania ci wyrośnie,
żaden kąkol go nie zgłuszy,
słońce kradnąc mu zazdrośnie.

I w pogodę ducha zbrojny
jasną pójdziesz w przyszłość drogą,
wesół, szczęśliw i spokojny,
nie poddając serca trwogom.

Więc z berylem wejdź w przymierze
i w przyjaźni trwaj zażyle,
życie w piękno ci ubierze,
gdyż radości wróży tyle.

TURKUS

W sprawach, jeśli są związane
z dokumentem czy papierem,
turkus świetnym talizmanem,
by nie skończyć żadnej zerem.

Choć nie jesteś na grosz łasy,
mieć go będziesz pod dostatkiem,
wypełni się wnętrze kasy
własną pracą albo spadkiem.

Lecz go w złoto nie oprawiaj,
choć wygląda okazale,
bo naopak wszystko sławia
i psie figle płata stale.

Z życia węgorzy

Uczony duński dr. Johen Schmidt zbadał niesłychane peregrynacje, które odbywają powszechnie znane nam węgorze.

Ryba ta, uważana powszechnie za żyjącą tylko w wodach słodkich, którą spotykamy, począwszy od północnej Norwegji, a kończąc na Senegalu w jeziorach, stawach, kanałach i rzekach, faktycznie kolebkę swą ma w morzu, gdzie niemowlęcy swój okres przeżywa w przeciągu 3 do 4 lat. Kolebka ta lokalizuje się w tak zwanym morzu Sargassów w pobliżu wysp Bermuckich na głębokości 200 do 300 metrów. Tu w marcu lub w kwietniu wylęga się setki miljonów jaj. Małe larwy, które z nich wychodzą, są mikroskopijnemi rybkami o długości 4 mm. Wychodzą one na powierzchnię ku światłu, zbierając się olbrzymiemi grupami, by przedsięwziąć długą podróż (około 6000 klm.) ku brzegom europejskim, których dosięgają w końcu 3-go lata. Przez ten czas znakomita część tych żyjątek ginie wskutek napaści niezliczonego mnóstwa nieprzyjaciół, a gdy dochodzą do lądu, mierzą już około 75 mm. długości na 10 do 12 szerokości. Wtedy następuje metamorfoza: tkanki zmieniają się, bezbarwna krew zostaje czerwoną, trzewia zmieniają postać, i żyjątko, skrócając się o jakieś 10 mm., z przyszłą wiosną zostaje już określonym małym różowym węgorzem, mierzącym około 6 cm.

W olbrzymich kolumnach, liczących miljardy osobników, płyną one jednym miarowym ruchem, zbliżając się do delt wielkich rzek. Wpływają tu w nocy, oczywista, przeciw biegowi i pomimo, iż natrafiają na licznych już dwunogich nieprzyjaciół — rybaków, prześlizgują się dalej, z wielkich rzek przedostają się do mniejszych, do stawów i jezior.

Przez czas nowej tej wędrówki jeszcze jedną przebywają transformację. Odnosi się to do zabarwienia, które staje się ciemnem, tracąc przezroczystość. Podczas tego okresu węgorze cechuje olbrzymi apetyt. Polują na wszystko, co tylko dla nich jest jadalne, by na zimę zwinięte w kłębek zamrzeć aż do wiosny w kompletnym letargu.

Przychodzi lato, w nocy wypełzają z wody, wędrują lądem, przechodząc z jednych wód do drugich, a po 8 latach, gdy samice dosięgają długości 1 m., węgorze przechodzą jeszcze jedną transformację, którą nazwać można przyobleczeniem w weselne szaty: oczy powiększają się, lokując się po bokach głowy, grzbiet czernieje, brzuch staje się białym, srebrzystym, i wtedy to właśnie węgorze przemieniają się na węgorze srebrzyste. Wówczas zaczyna się podróż w odwrotnym kierunku. Węgorze opuszczają słodkie wody w listopadzie i, zabierając po drodze wszystkich samców, które napotykają, olbrzymia ta armja ze wszystkich wód kontynentalnych z szybkością 25 do 30 klm. dziennie, głęboko pogrążając się na dnie morza, płynie w kierunku macierzystej kolebki, gdzie po złożeniu jaj wyczerpane wędrownym życiem zamierają.

Jak można zarobić w Ameryce 50.000 dolarów

Od czasu śmierci słynnego Harry Hoadivi, który niezaprzeczony swój talent poświęcił ściganiu i demaskowaniu fałszywych medjów, kwitnie znowu interes spirytystyczny w Ameryce. Świeża tego rodzaju sprawa, a raczej interes na wielką skalę został niedawno zawarty pomiędzy pewną damą, nazwiskiem O. Kinstry a jedną ze znaczniejszych firm wydawniczych. W układzie, który dzielnej tej osóbce, przyniósł okrągłą sumkę 50.000 dolarów, bohaterem jest duch zmarłego niedawno artysty filmowego, Valentina. W kółkach spirytystycznych Hollywood ukazywał się podobno kilkakrotnie po śmierci duch zmarłego artysty, zwłaszcza rozwiedzionej jego żonie, Nataszy Rambowej, która ogłosiła w pismach, że na drodze medjumicznej obcuje stale z dawnym ulubieńcem filmowym.

Aż oto zjawia się mrs. Kinstry i utrzymuje, że duch Valentina prześladuje ją poprostu. Za powiernicę tajemnic, którą ma tam, w dziedzinie czwartego wywiadu, spokoju nie dając, wybrał właśnie ją, kapłankę „Universal Spiritual Church", sekty, która w Nowym Yorku i Chicago licznych ma zwolenników. „Było to 7 grudnia w nocy — opowiada pani Kinstry, młoda jeszcze amerykanka, zebranym dziennikarzom — kiedy usłyszałam w oddali głos, który w miarę zbliżenia, coraz się stawał wyraźniejszym. Duchu, zapytałam, kim jesteś? Odpowiedzi nie było, widziałam jednak, jak z ciemności wyłania się twarz ludzka, potem postać i poznałam Valentina. Nosił na sobie frak, a na głowie, zamiast kapelusza zawój, jak w ostatniej sztuce, w której wystąpił. Unosił się w powietrzu na metr wysokości, a postać jego, początkowo mglist, coraz wyraźniejsza przybierała kształty. „Nie bój się" uspakajał mnie, uwodzicielskim, jedynym na ziemi głosem Valentina. „Wszak jestem Valentino! Chcę podyktować pamiętnik swój, który koniecznie należy sfilmować. Jak tu się oprzeć kategorycznym życzeniom ducha? Pani Kinstry początkowo próbowała protestować, ale gdy Valentino począł nalegać, błagać, a w nagrodę ustąpił jej wspaniałomyślnie honorarjum za opublikowanie pamiętnika, wychodząc z zasady, że żadna amerykanka darmo pracować nie powinna, uległa w końcu. Duch zaczął dyktować, a pani Kinstry stenografowała. Trwało to kilka godzin. O północy przerwał nagle, kontury postaci rozpłynęły się, twarz tylko świeciła się jeszcze, aż wszystko znikło. Na drugi dzień Valentino powrócił i odtąd wizyty jego powtarzały się przez kilka tygodni, dopóki pamiętniki nie zostały ukończone. Gdy przyszedł po raz ostatni, zamiast zawoju nosił na głowie szapoklak, ze względu zapewne na nastrój pożegnalny. Uchylił go uprzejmie i znikł, nie powrócił też więcej. Pani Kinstry, słuchając go ślepo, sprzedała jego pamiętnik z tamtego świata za 50.000 dolarów. Tak robi się interesy w Ameryce nawet na śmierci Valentina.

Wrażenia z Sowietów

Niedawno powrócił do Wiednia z podróży po Rosji Sowieckiej książe Karol Antoni Rohan i oto jak streszcza swe wrażenia:

Prawodawstwo kraju Sowietów jest zupełnie niedemokratyczne i oparte na dyktatorskiej władzy rządzącej partji proletarjatu. Na 140 miljonów ludności zaledwie jeden miljon stanowią szczerzy komuniści. Nie jest to bynajmniej „partja polityczna“ w zrozumieniu państw zachodnich, raczej jakiś zakon zamknięty, do którego wstęp jest utrudniony i wymaga odbycia pewnego nowicjatu.

Czynne i bierne prawo wyborcze posiadają obywatele płci obojga, którzy ukończyli rok ośmnasty i na utrzymanie swoje zarabiają „produkcyjną“ i „socjalnie“ pożyteczną pracą. Zaś wykluczone z prawa wyborczego są jednostki, które żyją z renty, dla powiększenia swych dochodów trzymają robotników, kupcy samodzielni, pośrednicy, duchowni różnych wyznań, jak również i urzędnicy policyjni dawnego ustroju.

Wyjątkowe prawa posiada partja chłopska, która w ustawicznej żyje wojnie z proletarjatem miast. Ofiarami owych walk padli sami menerzy, znani komisarze ludowi, Trocki, Kamieniew i Zinowjew. Co do Trockiego — utrzymuje książe — jest on dziś w Rosji osobistością skończoną. Bardzo dwuznacznie przedstawia się polityka sowiecka na zewnątrz. Dyplomaci w Moskwie zapewniają o pokoju, a dzieje się to dla przyczyn całkiem zrozumiałych. Każdy bowiem z prowodyrów rozumie, że opiera się na znikomej mniejszości, i że uzbrojenie większych mas dla niego samego stać się może niebezpieczne. Armja rosyjska, gdyby nawet została zjednoczona, dłużej, niż 5 — 6 tygodni, wojny prowadzić nie może. Zawiodłyby urządzenia techniczne, zabrakłoby kolei, i dowóz prowiantu z głębi kraju nie mógłby być uskutecznony.

Jeżeli więc Sowiety prowadzą dziś politykę antiangielską i antiamerykańską, dzieje się to raczej dla obrony haseł komunizmu, którego pierwszą zasadą jest walka z kapitalizmem.

Równie zrozumiałą jest działalność sowiecka w Chinach, gdyż drugim postulatem jest budzenie świadomości w narodach ciemiężonych.

Komunizm z natury rzeczy jest ateistyczny i, chociaż Sowiety naogół nie przeszkadzają obywatelom rosyjskim w praktykach religijnych, szczery i do stronnictwa dopuszczony komunista, zawsze jest ateistą. Rosyjska racja stanu do tego stopnia jest materjalistyczną, że poza dwiema katedrami skasowano wszystkie w kraju katedry filozofji. Literatura ostatniej doby jest nader prymitywna i trudno jej wróżyć jakąkolwiek przyszłość. Grywa się wiele w teatrach, ale i tu forma jest bardzo nieskomplikowana. W dramatach ostatnich przeważają dwa typy: biały ciemięzca i szlachetny czerwony obrońca. W międzyczasie strzela się sporo z karabinów maszynowych, a „clou“ sztuki stanowi stracenie na otwartej scenie. Wszystko, co w sztuce i literaturze przedstawia jakąkolwiek wratość artystyczną, pochodzi z dawnego carskiego regimu.